

«WESELE» Lidii Zamkow

Piszę w tytule: „Wesele Lidii Zamkow”, bo dla każdego widza uroczystej premiery sztuki Wyspiańskiego, z okazji 75-lecia Teatru im. J. Słowackiego, jest rzeczą oczywistą, iż mamy do czynienia z dość daleko idącą próbą reinterpretacji. Nie ukrywa tego sam reżyser; w programie mamy możliwość przeczytać dywagację Lidii Zamkow pt. „Dookoła Wesela”, drukowane wcześniej w „Życiu Literackim”, w których dotychczasowe sposoby rozumienia i inscenizacji arcydramatu Wyspiańskiego zostały zaatakowane z werwą i zasadniczo. Wyznać muszę, że nie wszystko jest dla mnie w owych rozważaniach jasne, i że przyznając autorce szkielet rację w wielu sprawach szczegółowych odnosząc wrażenie, że odkrywa ona i przekłada „z polskiego na swoje” prawdy dość oczywiste, bodaj już przez samego Wyspiańskiego sformułowane (jeśli nie wprost, to poprzez praktykę scenografa i inscenizatora). Mniejsza o to — i nie spierajmy się, jak dawnej inteligencji są choćby takie „drogowskazy”, cytowane przez Zamkow: „Nie tylko konstrukcja, lecz i problematyka »Wesela« tkwi w jedności ludzi i zjaw” (Aniela Lempicka). Ważne jest to, co zobaczyliśmy na scenie.

Złośliwi powiadali w kuluarach Teatru im. Słowackiego, w przerwach między bardzo długimi aktami, że reżyser „napisała na nowo” sztukę Wyspiańskiego. Gdyby to była cała prawda, byłaby prawdą nader smutną, bo Wyspiański to mimo wszystko dobry dramaturg! Tak jednak nie jest: Zamkow postanowiła po prostu zreformować poetykę „Wesela” — i unowocześnić ją w ten sposób. Nie zamierzam — jakem polonista — rzucać groźm na sam pomysł, i chyba niepotrzebnie reżyser obwarowuje w programie swoje przedstawienie aż taką ilością złośliwości pod adresem „nierozgarniętych”, gołowych trzasnąć drzwiami łoża na widok jej pomysłów — co „i na premierze »Wesela« (...) się zdarzyło”. Hm, na premierze „Wesela” trzasnął drzwiami nie byle kto, bo habia profesor Tarnowski, który — aczkolwiek konserwatysta — na literaturze i teatrze się znał, ideologię miał na tyle określona, że trzeba mu przyznać do tego subiektywne prawo. A cóż my dziś — szaraki? Dziś do dobrego tonu należy „gorąco oklaskiwać”, a w chwilach nudy dojmującej po prostu nudzić się w milczeniu...

Nudziłem się chwilami w milczeniu (a i publiczności chyba też — to aż zadziwiające, że tak mało było śmiechu podczas oglą-

dania jednej z najdowcipniejszych sztuk polskich) — w przerwach między scenami, które zasługują na brawa lub zaciekawienie, bo rzeczywiście wnoszą nowe spojrzenie. Czy zawsze słuszne — rzecz to inna, ale pozostaje faktem, że co najmniej z kilkoma pomysłami Zamkow będą się musieli liczyć jej następcy. Bardzo mi się spodobało ustalenie roli Pana Młodego w wykonaniu Wojciecha Ziętarskiego. Pierworzorem tej postaci był Lucjan Rydel, poeta nieśluszenie do tego stopnia obśmiany, przez Boya zwłaszcza. Wydaje się, że aczkolwiek utraciliśmy przez to kilka sytuacji komediowych (z rodzajem humoru raczej taniego), to wiele scen, w których uczestniczy Pan Młody, zyskało pogłębiony sens. Czyli — zysk czysty, traktując sprawę po kupiecku.

Interesująco postawiony jest symbol chochoła i róży, chociaż trzeba by się pospieszać, czy rzeczywiście należało zredukować owo „chochole” znaczenie, tradycyjnie przyporządkowywane również „sprawie narodowej”, wyłączenie do poezji. Myślę, że nie, i że kłóci się to z intencjami Wyspiańskiego. Wchodzimy tu zresztą (rejestrację wszystkich większych i mniejszych innowacji Zamkow pozostawiam omówieniom obszerniejszym) na teren sporu bardziej ogólnego. Z

całą jaskrawością występuje on w akcie II, chyba nie do końca udany, bo niekonsekwentny. Powiadają zresztą, że na II akcie „Wesela” potyka się każdy niemal reżyser...

Przedstawienie Lidii Zamkow, przy okazji którego deklaruje ona, iż nie należy „Wesela” „wycinować z epoki, nawet w sensie kostiumowym” atakuje jedną z podstaw teatru Wyspiańskiego — jego symbolizm, co rzutuje na całość inscenizacji. Trzeba przyznać, że wielu postaciom i scenom przydało to krwiistości, i że np. obrazki weselno-bakchiczne wyraźnie zyskują. Uczestnicy są pijani, jak dobremu polskiemu weselu przystoi, co aktorzy z reguły utrzymują w granicach, poza którymi jest już tylko naturalistyczna dosłowność. Problem zaczyna się przy scenach, w których występują postaci symboliczno-fantastyczne. Zamkow rozprawia się z nimi dość bezpardonowo, walcząc chyba nie tylko z interpretatorami Wyspiańskiego, ale i z nim samym. Mnie osobście owe homeryckie boje pasjonowały, zwłaszcza kiedy z reguły górą był Wyspiański. O cóż idzie? O to, czy przyznać zjawom pełny materialny kształt, czy też potraktować ich głosy i imaginacyjną obecność jako element monologu wewnętrznego, rozmowy z samą sobą postaci „realnych” (czyli — żywych). I tu od razu trzeba powiedzieć, że — mimo wszelkie wysiłki — kanon inscenizacyjny „Wesela”, na który zrobiła zamach Zamkow, w najbardziej zasadniczych zrębach pozostał nienaruszony. Wernyhora jako paubliczną postać, odwrócona tyłem do widza, to tyl-

ko modyfikacja — on jest mimo wszystko na scenie; mnogość Stańczyków ze skróconymi gazetami w charakterze kaduceuszów jest modyfikacją symbolu, który symbolem pozostaje nadal; Złoty Róg, „podawany” z rąk do rąk, choć nie istniejący w sensie materialnym, pełni nadal funkcję wyznaczoną mu przez poetę w ramach poetyki symbolizmu, itd.

Zamkow próbuje „zracjonalizować” sztukę Wyspiańskiego. Tropi sprzeczności w tekście, poetyckie nieścisłości — i prosi je różnymi sposobami, m. in. przedstawiając kolejność tekstów. Wyznam szczerze, że jestem przeciw „prostowaniu” pisarzy i ich pomyłek, bo wtedy trzeba by przeredagować wiele wybitnych dzieł literackich, gdzie np. autor mył się co do cen, obowiązujących w opisywanym przez niego czasie. Niech sobie ten Wyspiański pozostanie poetycko niekonsekwentny, niech jego myśli nie do końca będą jasne; wszak nie tylko o poetykę tu idzie, ale i o wyrażenie bezradności, szamotania się...

I sprawa ostatnia: problem inteligencji w „Weselu”. przymierzony do współczesności. Zamkow słusznie postawiła problem; jest to dla mnie najbardziej ważki element przedstawienia. Stosunek inteligencji do całości narodu — i odwrotnie, sprawa jej miejsca w społeczeństwie jest tylko pozornie archaiczna. Rok ubiegły z całą jaskrawością ukazał, że jest to problem, którego skwitować się nie da sloganami. Dramat inteligencji z „Wesela” i atak na nią zarazem, nadaje się do roztrząsań na nowo

Dla recenzenta najgorzej są „oceny całościowe”. ale cóż robić! Sądzę, że „Wesele” w reżyserii Lidii Zamkow mamno wszystko nie wstrząsnęło naszym dotychczasowym rozumieniem tej sztuki, aczkolwiek rzuciło sporo nowego światła. Ogromna wielkość scen może być odczuwana przez dzisiejszego widza jak bliska i aktualna — co jest sukcesem. Bywają dłużyżny, niemało niekonsekwencji (zwłaszcza akt II — pomieszanie różnych konwencji) — ale i wiele scen bardzo pomysłowych, świeżych i sugestywnych. Trochę brak wyraźnej idei przewodniej w kształcie interpretacyjnym, antysymbolizm rwie chwilami nastrojowość — za to nie ma „rozmażanej” liryczności. Tempo nie zawsze dobre. Szczególnie gorące brawa dla: Kazimierza Witkiewicza — Gospodarz, Leszka Herdegena — Poeta, Heleny Chanieckiej — Klimina, Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej — Rachel, Wojciecha Ziętarskiego — Pan Młody. „Ciepłe słowa” dla: Katarzyny Meyer — Gospodyni, Andrzeja Mrowca — Jasiiek, Andrzeja Szajewskiego — Kasper, Mariana Cebulskiego — Ksiądz, Romana Stankiewicza — Zyd. Kostiumy ładne, scenografia — nie budzi we wszystkim zachwytu (ta „abstrakcyjność” powała!). Całość na pewno nietuzinkowa.

Stanisław Wyspiański: Wesele. Reż.: Lidia Zamkow. Scen.: Lidia Mintics, Jerzy Skarżyński. Mus.: Stanisław Radwan. Chor.: Zofia Węclawówna. Asyst. reż.: Jerzy Woźniak, Wojciech Ziętarski. Teatr im. J. Słowackiego.